

# WIECZORY RODZINNE

## Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71, tel. 240-15.

### WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kw. rb. 1. mies. 35 k z dodat. rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kw. 1.60 mies. 60k. Za odnie dopłaca się 10 kop. kwartałnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25. mies. 45 k.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80.

Z granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor. rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

### WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20  
w tekście nadesłane " " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskie-Przedmieście 71 w Warszawie księgarnia „Polaka - Katolika”.

### TREŚĆ NUMERU:

Wiosna (wiersz). — Zielone Świątki — (2 ryc.) — Nad brzegami Bosny i Narenty, przez Stanisława Belzę. — Sieciech i królewicze. przez Helenę Strażyńską. — Z dziejów przemysłu w Polsce — Nic po nad ziemię rodzinną — Złowrog przybysz, przez K. Rydzewskiego i Z. Piechowskiego. — Skrzynka do listów. — DODATEK DLA DZIECI. — (1 ryc.) Czego się Janinka dowiedziała o gąbce i od gąbki — Zielone Świątki — O pięciu braciach (baśń islandzka). — Kalosze. — Wiesławek.



### Co może silna wola.

W Hollandji, w Hadze, mieszkał przed dwudziestu pięciu laty ubogi listonosz, nazwiskiem Sneeders. Po całych dniach od rana do wieczora przebiegał ulice i wydeptywał schody domów, ale gdy skończył swą pracę, nie szukał zabawy, ani odpoczynku. Wracał do swej izdebki siadał przy stole i — uczył się.

Miał jednak bowiem, jedyną namiętność — żądze wiedzy. Sąsiedzi uważali go za dziwaka, ale on o to nie dbał. Zaczął się sam, bez żadnej pomocy, uczyć po łacinie. Szło mu to bardzo trudno. Gdy sądził, że już nieco umie, wziął do siebie na mieszkanie studenta. Od niego dowiedział się, że umie bardzo mało, że wielu rzeczy nie rozumie, lub źle rozumie. Począł się tedy uczyć od studenta łaciny i przy pomocy jego innych przedmiotów.

Zaznajomił się z innymi studentami, urządzał dla nich niedzielne pogadanki, pożyczał od nich książki. Wreszcie począł sam pracować naukowo. Poświęcił się statystyce i naukom społecznym. Dał do pism jeden i drugi artykuł, następnie książkę, po niej cały szereg prac, które zyskały wielkie uznanie.

Obecnie rząd holenderski skromnego uczonego, który dotychczas wciąż, jako listonosz, biegał z torbą po mieście, mianował — profesorem uniwersytetu. W ten sposób prosty listonosz, bez szkół, bez doktoratu, bez dyplomów, bez protekcji został profesorem wyższej uczelni i powszechnie znanym i cenionym badaczem Sneedersem.

Oto dowód, że nie papier, nie dyplom robi człowieka a przykład, co może silna wola i praca.

W innym kierunku wybił się w ten sam sposób, tylko dzięki silnej woli, człowiek, który z niczego dorobił się olbrzymiego majątku i świeżo zmarł w Londynie, jako wielokrotny milioner.

Tomasz Hollowaj urodził się w West-Lavington, jako syn bardzo ubogich rodziców. We wczesnej młodości przymierał głodem, żyjąc często suchym tylko chlebem, chodził bosi i obdarty. W szkole jednak był pierwszym uczniem, a taką odznaczył się pilnością, że nauczyciel ofiarował mu się dawać lekcje prywatne. Gdy miał dwanaście lat, stracił ojca. Stary Hollowaj umarł na zapalenie płuc, z zaziębienia, gdyż nie miał na wprawienie szyby w oknie.

Młody Tomasz poszedł do Londynu i zgodził się na chłopca do posylek. Odznaczył się taką pilnością i sprytem, że go wzięto do kantoru najprzód na woźnego, potem na pisarczyka, wreszcie został urzędnikiem kantorowym. Tam przytem ciągle się uczył i skwapliwie oszczędzał. Umiejętność oszczędzania doprowadził do najwyższego stopnia. Po kilku latach założył sobie biuro budowlane w bardzo skromnych rozmiarach, a następnie przedsiębiorstwo budowlane na większą skalę. Nie ustawał w pracy i oszczędności, a że zyskał uznanie, jako poważny i uczciwy przemysłowiec, począł otrzymywać roboty rządowe. Dostał, między innymi, budowę olbrzymiej admiralicji w Londynie, głównej poczty i t. d. Przedsiębiorstwa te dały mu olbrzymi majątek.

Przed dziesięciu laty kupił od lorda Churchilla cały West-Lawington, rodzinne swoje miasteczko. Wnet zbudował tam szpital, kościół, szkołę i ostatnie lata spędził tam, skąd wyszedł bosym nędzarzem, a dokąd wrócił witany, jako dobroczyńca, potężny, jak król.

Tyle może silna wola, praca i — oszczędność.

### Kobieta komendantem statku.

W Anglii kobiety walczą namiętnie o prawo kierowania nawa państwową, wykazując metodami walki, jak bardzo do swych pretensji niedorosły, we Francji zadowolają się kierowaniem... dorożkami; prawdziwą jednak sensację wywołało mianowanie w Danii kobiety komendantem dużego statku transatlantyckiego. Pani v. Bauditz, żona lekarza okrętowego, osoba przytem wcale urodziwa, w licznych swych podróżach z mężem tak zasmakowała w sztuce marynarskiej, że postanowiła sama uzyskać szlify oficera morskiego. W tym celu zamiast podpalać statki i niszczyć okazy w muzeach oceanograficznych, wstąpiła do szkoły morskiej w Kopenhadze, którą ukończyła z odznaczeniem, poczem czekała cierpliwie na okazję wykazania swych talentów i wiadomości. Sposobność zdarzyła się wkrótce. Oto podczas jednej z podróży na statku, którym jechała p. v. Bauditz, zachorował ciężko komendant, pani v. Bauditz okazawszy swe dyplomy i świadectwa z odbytych praktycznych studjów, prosiła o pozwolenie chorego. Z zadania wywiązała się tak dobrze, że dziś mianowano ją urzędowo komendantem dużego statku transatlantyckiego.

### Koniec świata.

Jeden z matematyków francuskich, p. Veronnet, obliczył, że ziemia ma jeszcze przed sobą nie więcej, niż dwa miliony lat życia. Wraz z upływem tego okresu czasu zwierzęta i rośliny wymrą doszczętnie. W ciągu pozostałych nam jeszcze dwudziestu tysięcy stuleci wszelka egzystencja będzie stopniowo gasła na skazanym na śmierć globie. Przyczyną skonu planety będzie zimno.

Hypoteza p. Veronnet nie jest już nowa. Po raz pierwszy jednak obliczenia uczonych pozostały ziemi tak krótki czas życia. P. Veronnet przedstawił dwukrotnie w paryskiej akademii swe, oparte na ściśle naukowych podstawach, obliczenia.

Paryski matematyk oparł swe dowodzenia na teorii Helmholtza, stwierdzającej, że słońce oziębła się stopniowo, tracąc swą, w postaci ciepła ujętą, energię.

Obecna temperatura słońca ma wynosić około 6.200 stopni. Opierając się na tem, Veronnet wyliczył, że ziemia nasza posiada dzisiaj temperaturę 16 stopni, dochodzącą do 34 stopni w okolicach równika.

Cofając się wstecz, uczone francuski stwierdza, że przed 2 milionami lat promień słońca był półtora raza dłuższy niż promień dzisiejszy. Ziemi więc przypadła w udziale daleko większa ilość ciepła. Temperatura ziemi wynosiła wówczas w okolicach biegunów mniej więcej 90 stopni. W tym to czasie — przypuszcza p. Veronnet — musiały powstać w okolicach biegunów pierwsze zaczątki życia na ziemi. Rozumując w identyczny sposób, doszedł p. Veronnet do wniosku, że w ciągu 2 milionów lat promień słoneczny zmniejszy się do jednej dziesiątej obecnej swej długości. Ziemia będzie wówczas najzupełniej zlodowaciała, średnia jej temperatura będzie wynosiła zaledwie 0 stopni. Wszelka egzy-

stencja stanie się nie możliwą. Stan ten zapewne będzie poprzedzony przez epokę powrotu do barbarzyństwa.

Podobne wyliczenia zastosowane do Marsa, wykazały p. Veronnet, że planeta ów znajduje się od dawna w stanie zlodowacenia i że życie na jego powierzchni już doszczętnie zanikło.

Wywody p. Veronneta wywołały bardzożywioną dyskusję na ostatniem posiedzeniu paryskiego towarzystwa astronomicznego. Większość oponentów p. Veronneta twierdziła, że życie na ziemi będzie trwało stanowczo dłużej niż 2 miliony lat. Nie zgadzano się również z twierdzeniem, jakoby Mars był już doszczętnie wygasłym planetą.

### Kos naśladowcą sygnałów kolejowych.

Na jednej ze stacji kolei szwajcarskiej w przeźstrzeni, na której odbywa się „szybowanie“ wagonów, a więc tam, gdzie sygnały dawane gwizdawką ustną bezustannie rozbrzmiewają, dały się słyszeć w ubiegłym miesiącu nadzwyczaj częste karygodne naśladowania tych sygnałów gwizdawkowych. I nie udało się nikomu przytapać sprawcy na gorącym uczynku. Napróżno zwracano baczną uwagę na uliczników, kręcących się koło torów. Wreszcie udało się jednemu z urzędników wykryć sprawcę, którym nie był ani żaden ulicznik, ani też inne stworzenie biegające po ziemi, lecz mieszkaniec sąsiednich drzew — czarnoupiierzony kos. Ptak ten wygwizdywał z nadzwyczajną dokładnością i na deleką przestrzeń, dając się dobrze słyszeć wszelkie sygnały, oznaczające: zatrzymanie, jazdę w tył i przód itp. Ponieważ kosy nie naśladowują nigdy dźwięków innych ptaków, a te, które przebywają zdala od kolei, nie naśladowują wcale gwizdków kolejowych, więc najprawdopodobniej w mowie będący kos, który tak dzielnie i z zapatem pomagał przesuwaczom wagonów, przepędził zimę w pobliżu tej stacji kolejowej, a słuchane przezeń sygnały zrobiły widocznie na nim tak wielkie wrażenie, że zapamiętał sobie wszystkie, a z wiosną nie omieszkał pochwalić się przed szerszą publicznością, nabytemi przez zimę wiadomościami, powtarzając z nadzwyczajną dokładnością wszystkie sygnały.

### Wyprawa na goryle.

Jeden z najsławniejszych myśliwych amerykańskich, Buffalo-Jones nieprześcigniony we władaniu „lassem“ czyli arkanem, wyruszył do Afryki, gdzie zamierza żywcem łapać goryle i to nie młode, ale stare dorosłe małpy. Już przed trzema laty był Buffalo-Jones w Afryce, gdzie łapał na „lasso“ lwy, nosorożce, żyrafy, lamparty i inne dzikie zwierzęta. Buffalo Jones, który w „New York American“ opisuje swoje przygotowania do tej wyprawy, bynajmniej nie lekceważy siłę goryla; twierdzi on, że ta małpa może sprostować dwudziestu pięciu mężczyznom. Mimo to, jak twierdzi, nawet olbrzym, mający więcej niż dwa metry wysokości, nie ochroni się zręcznie zarzuconym arkanem, z których każdy ma przeszło 30 metrów długości. Prawda, że goryl nie da się podejść na otwartym terenie, a w gąszczu władanie „lassem“ jest ogromnie utrudnione. „Mimo to Buffalo Jones jest pełen nadziei i jaknajlepszej myśli. Nieustraszony ten myśliwy mimo swego podeszłego wieku — liczy przeszło siedemdziesiąt lat — jest człowiekiem żelaznego zdrowia, czerstwym i mocnym. Towarzyszą mu dwie kobiety obie znakomicie jeżdżą konno i władają biegle

# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

## W I O S N A.

Muzyka L. K-Daszkieviczowej.

*I we soła i ra do sna, przysła do nas  
świeża wiosna, przysła aż za mór, przysła aż za mór.*

I wesoła i radosna  
Przysła do nas świeża wiosna,  
Przysła aż z za mór, — (bis)  
Już rozstewa zieleń kwiecia,  
Blaski słońca po wszem świecie  
I świt nowych zórz. (bis)

O! już tylko czekać cbwili,  
Gdy kwiat z pąka się wychyli  
Stanie w bieli krzew, (bis)  
Kwiaty wyjrzą z łąki, z wody,  
I okryją się ogrody  
Bielą kwietnych drzew. (bis)

Rolnik na swe czarne łany  
Wiedzie pług swój, pług kochany,  
Aby ziemię rył. (bis)  
Bo gdy w ziemię ziarno rzuci,  
Już go troska nie zasmuci,  
Z czego będzie żył. (bis)

Bo to kwiecień, więc uciecha,  
Wiosna do nas się uśmiecha,  
Weselmyż się wraz, (bis)  
Pełni wiary i ochoty  
Znów się bierzmy do roboty,  
Bo nam w pole czas. (bis)

Oj! miła ta wiosna nasza,  
Słońce chmury gdzieś rozprasza,  
Zieleni się las, (bis)  
A skowronek i bociany  
I jaskółek rój kochany  
Wraca w błogi czas. (bis)

Kto na wiosnę odpoczywa,  
Niech się w lecie nie spodziewa,  
By co zbierać miał; (bis)  
Pożałuje ten w jesieni,  
Kto na wiosnę się poleni,  
I w gnuśności spał, (bis)

A więc bracia, hej do pługa,  
Bo tak wzywa czarna smuga,  
Bo tak wzywa łan; (bis)  
Niech nam praca miłą będzie,  
Niechaj wam się wiedzie wszędzie,  
Niech wam szczęści Pan. (bis)

W. G.

MARJA KACZKOWSKA.

## ZIELONE ŚWIĄTKI.

WSPOMNIENIE Z DAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Zielone świątki przypadają w najpiękniejszą porę roku, na wiosnę. Obchodzone bywają od najdawniejszych czasów jako pamiątka Zesłania Ducha Świętego w kościele katolickim bardzo uroczyście, budzą serca do radości wobec zieleni otaczającej nas, rozkwitu natury, rozsiewającej wokoło czar niezrównany, zowią się dlatego Zielonemi Świątkami.

W Warszawie świętowano też je radośnie, a oddawna był zwyczaj, że stęsknieni mieszkańcy, za powietrzem świeżem wybierali się za miasto na prawy brzeg Wisły do Golędzinowa, gdzie była wyspa pokryta lasem, której dziś jednak śladu niema. Głównie zbierano się tam w drugie święto corocznie, gdzie po zabawie wyprawiano weselną ucztę, dla ubogiej najcnotliwszej dziewczyny ze Starego Miasta.

Z tamtych to odległych czasów, datuje się zdarzenie, które zamierzyłam opisać wam poniżej, odnoszące się do 1655 roku za panowania w Polsce Jana Kazimierza, którego historia nazwała, jednym z najniešťczęśliwszych królów.

Przed Zielonemi Świątkami, wielki ruch panował na Starem Mieście w Warszawie, i nic dziwnego, był to miesiąc maj, Warszawianie robili zakupy większe.

Stragany zieleniły się jak ogrody, przystrojone w gałęzie przyniesione z lasu, w kwiaty leśne i łąkowe. Na straganach moc była jarzyn różnych, zielenin, nowalijek, o które starały się pilnie skrętnie i zabiegliwe przekupki.

Stare miasto wówczas, było spizarnią Warszawy, gdzie, wszystkiego było można dostać, jak mówiono czego tylko dusza zapragnąć mogła i ciało łaknęło.

Stragan stał przy straganie, a gwar był wielki, gdyż i ludzi niemało napłynęło z okolic i przekupki słynące z niepośledniej wymowy, głośno zachwalały towary, zapraszały i targowały się.

Typ owych przekupek ze Starego Miasta, dziś już zaginął.

Wygadane, rezolutne i ambitne, były przytem zabiegliwe, pracowite i wesołe.

Pod szorstkim pozorem miały serca litościwe, pobożne, uczciwe, kochały kraj swój gorąco, gotowe były poświęcić życie, interesowały się pilnie tem, co się w nim dzieje i co mówi zagranica.

Politykowały po swojemu, z usłyszanych wiadomości wnioskowały o wojnie lub pokoju, w ojczyźnie i innych krajach.

Wybitną postacią wśród przekupek była pani Maciejowa Łapciowa, zwana Seniorką przez towarzyski.

Korpulentna, mowna, rezolutna, odznaczała się charakterem nieposzlakowanym, wielką dobrocią serca, oraz stanownością.

Stragan jej był zamożny, na nim znajdowały się rozmaitego rodzaju towary, oprócz działu żywności

i gotowe ubiory dla niewiast, cizemki lekkie i wygodne, ubranka strojne, czapeczki dla mężatek, różnobarwne wstążki dla dziewcząt, ubrania całkowite dla mężczyzn, kapelusze słomkowe, na różne wieki, i t. p.

Z daleka już przybrany ten stragan w brzozowe gałęzie, wabił ku sobie przechodniów — każdy przystawał, a skoro było trochę grosza w kalecie, kupował ufny w dobroć towaru i uczciwość sprzedającej.

Pani Maciejowa była wdową bezdzietną. Zabiegliwości swojej zawdzięczała nietylko własne dostatnie utrzymanie, ale jeszcze wyświadczała wiele dobrego bliźnim.

Dobroczyzna i litościwa, wychowywała sieroty — wśród których kilkoro dziewcząt z jej dobroci otrzymało chleb w rękę, gdyż wyuczyć ich poleciła, płacąc za to, szycia, kroju, różnych ręcznych robót. Chłopców posyłała do rzemiosła, zdolniejszych do szkółki.

Za te dobre uczynki, otrzymała przydomek; „Matki całego świata“.

Pani Łapciowa pracowała dla tych przybranych dzieci bez wytchnienia, a kochała je chyba nie mniej jak rodzona matka.

Wśród tej całej gromadki wychowawców, najmilszym jej serca był Stach Kowalik. Wzięła go małym dzieciakiem od piersi matczynej, w chwili kiedy rodzona matka zamknęła oczy na wieki, przed dwudziestu laty, wychowała z trudem, gdyż chłopiec był delikatny i słabowity. — Dzięki opiece troskliwej, Stach wyrósł na dorodnego młodzieńca.

Zdolny był i pracowity.

Maciejowa postanowiła go kształcić na wojskowego, oddać do przybocznej straży króla; posyłała go do szkoły, nie szczędziła kosztów, aby go stosownie pokierować. — Jak na owe czasy Stach zwał się uczonym, czytał biegle, pisał wyraźnie i poprawnie, i wiele miał potrzebnych wiadomości nabytych pod opieką księży Jezuitów.

W chwili naszego opowiadania, Stach był żołnierzem przy królewskim dworze w zamku, wielce cenionym przez zwierzchników, kochany przez towarzyszków, używany nieraz jako wypróbowany i odważny do ważniejszych spraw, czynny w kancelarji.

Pani Maciejowa rosła, skoro przyszło jej mówić o wychowanku, lub słuhać o nim pochwał, myślała jeno o odznaczeniu jego, lecz drżała na myśl, aby nie poszedł na wojnę, którą prowadził król Jan Kazimierz prawie nieustannie, potrzebując coraz nowych sił wśród młodzieży. Drugim pragnieniem było przybranej matki, ożenić wychowanka z bogatą mieszczką, panną Justyną Zbróźkową córką właściciela kamienicy pięknej na Starem-Mieście — myślała bowiem, że tym sposobem może on uzyskać szlachectwo, a taka parantela przyniosłaby mu odznaczenie zaszczytne.

Stach jednak nie dzielił zapatrywań ukochanej swojej mateczki, jak nazywał panią Łapciową. Palił się w nim animusz rycerski, aby koniecznie odznaczyć się na polu bitwy, własną zasługą zyskać stopień upragniony; a bogata dziedziczka kamienicy i okazałego wiana, była mu wstrętną, gdyż mówiono o niej, że jest samolubna, zła i jedynie zamiłowana w strojach, w dogadzaniu swoim zachciankom. Myśli i serce Stacha zwracały się w inną zupełnie stronę.

Niedaleko straganu Łapciowej był inny o wiele skromniejszy z jarzynami i zielenią, Walentowej Goździkowej, ubogiej wdowy po szewcu. Biedna szewcowa, mieszkała w suterenie i z wielkim trudem mogła wyżywić siebie, oraz jedyną córkę Julisję. Nieraz matka nie miała czem posilić się sama, ale wszystko co posiadała oddawała dla córki.—Póki dziecko było małe, mniej potrzebowało, ale z latami mnożyły się wydatki, coraz było cięższe.

Dobra pani Maciejowa wspomagała sąsiadkę swoją, często pożyczając pieniądze, podarkiem z towarów swoich, lub dając na kredyt, przyczyniła się do ubioru dziewczyny, która nosiła rzeczy porządnie, łątając i dbając o nie. Julisia pomimo, że żyła w wilgotnej,

ponurej izdebce, pozbawionej powietrza i słońca, wcale nie miała wyglądu owych dzieci słabowitych i wątłych, mężniała z wiekiem, wyrosła nadspodziewanie, na śliczną 16-to letnią dziewczynę. Ubrana zawsze skromnie ale czysto, bez pretensyj, za całą ozdobę służyły jej bujne, piękne jasne włosy, wyraz szlachetnej twarzy i niewinność w ciemnych oczach. Matka pragnąc dać jej jakie takie wychowanie, posyłała ją do tej samej szkółki przy kościele farnym, gdzie uczęszczał Stach, a ten, swojej koleżance, dopomagał nieraz w trudniejszych zadaniach. Zawiązała się też pomiędzy młodymi serdeczna przyjaźń, tem więcej, że Julisia była dobra, litościwa dla biednych, pobożna i wielce cnotliwa dziewczyna.

Stach doszedłszy do lat 20-tu całym sercem pokochał Julisję Goździkównę i pragnął ją pojąć za żonę, ale pani Maciejowa, dowiedziawszy się o jego zamiarach, wielkim wybuchnęła gniewem, zapowiedziawszy, iż nigdy na to nie pozwoli, błogosławieństwa nie da. Od owej nawet chwili wyznania Stacha, zniechędziła panią Walentową i jej córkę,—stała się dla nich przykrą, kłótniawą i radaby była wypędzić wdowę z rynku Starego Miasta.

d. n.

STANISŁAW BEŁZA.

20)

## NAD BRZEGAMI BOSNY I NARENTY.

Dzięki warunkom, w jakich znajduje się Ilidże, i poparciu, jakiego doznaje od ogółu, przyszłość jego przedstawia się w jak najświetniejszych kolorach. I można na pewno twierdzić, że za lat już kilka, miejscowe cieplice zdobędą siłę przyciągania gości z najdalszych nawet stron. Zyskają przez to one przede wszystkim, zyska lecz też i cały kraj, Europa bowiem zapozna się z nim bliżej, i pozbędzie się uprzedzeń, jakimi do niedawna jeszcze względem niego była ożywiona, a które mu tyle szkody wyrządzały. Dziś już każdy przyjezdny do tego miejsca nie poprzestaje na niem, robi wycieczki do Sarajewa i Mostaru, wchodzi w bliższą styczność z miejscową ludnością, a ślady tego znajdujemy już w obcych literaturach.

Czemu jednak przypisać trzeba, że gdy w liczbie gości w Ilidże polacy stanowią rok rocznie pewien procent, a na urzędach w Bośni znajduje się ich znaczna ilość, piśmiennictwo ojczyste, traktujące o Bośni, tak nieznaczną odnosi z tego korzyść?

Książeczka pani Jakubowskiej, od czasu do czasu korespondencja w którymś z pism galicyjskich lub petersburskim „Kraju”—oto wszystko.

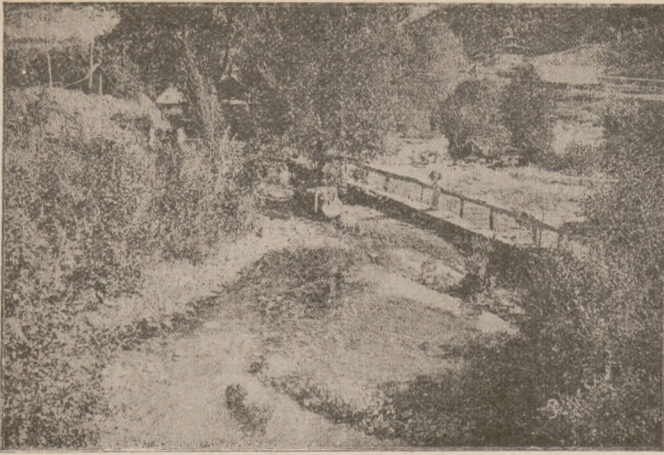
A przecież, jeśli kogo, to nas, kraj ten interesować powinien, raz dlatego, że jest z krwi i kości słowiańskim, a powtóre, że obfituje w tyle przykładów wytrwałości i poświęcenia, które go przy życiu utrzymały.

Otóż kto, jak my, wytrwałości tak mało posiada, kto do poświęceń w pokojowej walce o zachowanie

najdroższych dóbr duchowych tak niewiele dziś okazuje ochoty, ten mieć ciągle przed oczyma powinien obraz ludu, w którym te cnoty doszły do wielkiego rozwoju. A tymczasem inteligencja nasza rozrzuconą jest od kilkunastu lat po całej, Bośni, w życiu jej publicznem przyjmuje czynny udział, my o tem przecież tyle tylko wiemy, że, przebiegając ten kraj, słyszymy od czasu do czasu w miastach polską mowę. Za mało, doprawdy za mało, jeśli się chce iść z żywymi naprzód, a nie niby arjergarda, stać ciągle w tyle, i w końcu doznać losu opieszających, którzy się zawsze we wszystkim spóźniają. Kiedy się zobaczy, co Niemcy, pod względem zaznajomienia swoich rodaków z Bośnią i Hercegowiną, zrobili, uwagi powyższe nie wydadzą się zbyt surowymi.

Jak dzień schodzi w Ilidże? I prędko i przyjemnie. Kto używa ciepłych kąpiel, od nich naturalnie dzień rozpoczyna; kto nie, rozporządza czasem swoim dowoli. Dzieli go więc między spacerami po parku przeinaczającym się powoli na mały zwierzyniec, a lekturą w miejscowej czytelnicy. Latem, kilkanaście pociągów kolejowych odchodzi codzień do Sarajewa, kiedy więc zatęskni do wiejskich murów, może sobie przyjemności widzenia ich nie odmówić, a gdy chce użyć dalszej wózką lub konno przejażdżki, źródła Bosny nadają się do tego jak najwyborniej.

Te źródła Bosny, rzeki, która nazwę krajowi nadała, odległe są od Ilidże o kilka wiorst. I tu znów spotykamy się z wyborną szosą, i dostajemy się nią



Źródła Bosny.

aż do samych źródeł. Ukryte w zagajniku, tworzą one coś w rodzaju szeroko rozlanego, płytkiego przecieź jeziora i robią wrażenie takie, jak gdyby dawały początek jakiejś olbrzymiej wodnej arterji. A tymczasem Bosna jest długą wprawdzie, ale drugorzędną rzeczulką, wpada nie do morza, lecz do Sawy, i daleko jej do wielkiej roli, jaką w Europie odgrywają olbrzymie wodne arterje.

Kiedym stał na pomoście i przyglądał się temu jezioru, będącemu nie czem innym przecieź, jak naturalnym basenem, utworzonym z wielu źródełek, wytryskujących z podnóża góry i łączących z sobą swe wody, przypomniało mi się, kilka lat temu przeze mnie widziane, źródło Elby w Górach Olbrzymich.

Elba, słowiańska Łaba, grająca niegdyś tak wielką w zachodniej słowiańszczyźnie rolę, a dziś jedna z najpotężniejszych rzek Niemiec, wytryska jednym wąziutkim promieniem, a obwód basenu, z którego jej wody wydobywają się na powierzchnię góry, nie przenosi nawet łokcia. A Bosna, nie co innego przecieź, jak jeden z dopływów Sawy, i z Elbą nawet nie wytrzymująca porównania, u swoich źródeł daje obraz tak wspaniały, że kiedy się potem jej samej przyjrzy, nie chce się wierzyć, iż jest on obrazem jej kolebki. Tak jednak jest, i te wody, jakie się tu widzi, kiedy się w końcu przeleją w jedno koryto, ukazują całą swoją niemoc. Pieniąły się i szumiały, wytrysnąwszy na powierzchnię ziemi, ale przelotnie, krótko. Schwyciły je w końcu górzyste wybrzeża kraju i bez trudu przyprowadziły do porządku.

I gdy Elba, urodzona w zakątku, rozlała się następnie wspaniale po płaszczyźnie, Bosna, zapowiadająca u źródeł swoich tyle, śladem cudownych dzieci, marniejących następnie wśród niesprzyjających okoliczności, w dalszym swoim rozwoju, nie odpowiedziała pokładanym w niej przy jej zaczątku nadziejom.

Źródła Bosny, wycieczka to nieco dalsza, Butmir jest bliższy, nic więc dziwnego, że nawiedzianym jest przez przebywających w Ilidze częściej. Położony mniej niż źródła pięknie, wśród płaszczyzny, zroszonej górskim potokiem, w gospodarstwie Bośni odgrywa on znaczącą rolę.

Jest to folwark, ale folwark wzorowy, urządzony wielkim kosztem i przeznaczony do przygotowywania krajowi postępowych rolników i hodowców bydła. Na lata dopiero żywot się jego dotąd liczy, mimo to przecieź, zaznaczył się on już wybitnie w swoim zakresie. Z dalekich okolic przybywają tu rok rocznie synowie kmiecy, i zapoznawszy się z całym jego ustrojem, rozrzsiewają następnie po kraju ziarna zdobytej nauki.

Kiedy Austria zajęła ten kraj, gospodarstwa rolne w Bośni i Hercegowinie stały niżej wszelkiej krytyki. Nie wyciągano płodów z ziemi, ale rabowano ją bez myśli o jutrze. Tak trwać dalej nie mogło. Nowy więc zarząd kraju pomyślał na serjo o poprawie opłakanych rolnych stosunków, i wzorowe, w rodzaju Butmiru, folwarki, jakie po Bośni pourządzał, jak nie można lepiej, dopomogły mu do tego. Dziś już w Bośni jest też o wiele pod tym względem lepiej, a jeżeli jeszcze nie jest dobrze, przyczyna prosta — oto zbyt świeżo zrobionym tam został obrachunek z rządami padyszacha. Butmir w naukowym świecie znanym jest również. Stare wykopaliska, jakie tu odgrzebano, zwróciły na niego uwagę uczonych archeologów, a kongres ich z Virchowem na czele, odbyty w Sarajewie kilka lat temu, zwiedzaniu jego grobowców poświęcił sporo czasu. Muzeum też stolicy posiada wiele wydobytych z ziemi w tem miejscu zabytków, świadczących dowodnie o tem, że ziemia ta w odległych czasach była wielkim przechodnim szlakiem, którym przeciągały w różnych kierunkach uzbrojone tłumy, niosąc słabszym zniszczenie i śmierć. Dobrze więc, że ci, którzy tu dziś ruszają się i pracują, budzą dokoła siebie cywilizacyjne życie.

W niewielkiej odległości od Butmiru leży oryginalna wieś turecka. Turecką nazywa się ona z tego względu, że zaludniają ją wyłącznie mahometanie. Zapragnąłem ją poznać, i pewnego dnia udałem się do niej konno.

Wieś leży u stóp wysokiej góry i przypomina nieco te mahometańskie osady, z jakimi spotyka się około Vranduka w dolinie Bosny. Wyróżnia się ona bardzo od wsi chrześcijańskich, a wyróżnia przede wszystkim charakterem swoich domostw. Nie spotkałem tu żadnego pokrytego słomą, wszystkie drewniane o spiczastych dachach, wszystkie otoczone ogrodami.

d. c. n.



Zagroda włościańska w Bośni.

HELENA STRAŻYŃSKA.

12)

## SIECIECH I KRÓLEWICZE.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

## VIII.

Zobaczmy teraz jakim sposobem Bolko tak szczęśliwie uszedł zasadzki. Powiedzieliśmy, że Wojśław, ochmistrz małego księcia, nie towarzyszył mu w tej wyprawie, a jakkolwiek obiecywał dogonić orszak, tego przecież doczekać się nie mogli. Zapytywany Petrko odpowiadał, że mają iść ku granicy, a nie czekać na Wojśława.

Nieobecność Sieciecha i jego krewniaka zaczęła budzić pewne domysły w podejrzliwej szlachcie, zaczęto coraz głośniej przebąkiwać o zdradzie, co przez Gallusa doszło do uszu księcia. Bolko potykając się na łowach czy w boju, gdzie widział przed sobą nieprzyjaciela, bywał nad wiek odważny, na myśl jednak zdrady i niebezpieczeństwa tem groźniejszego, że nie wiedział, skąd ono mu grozi, zaczął drzeć ze strachu.

Wysłał on wprawdzie wiadomość do Zbyszka, że dąży do granic Szląska, ale czy była pewność, że wiadomość ta doszła Zbyszka?... czy ten będzie wiedział, gdzie Bolka odszukać?... czy nie przyjdzie zapóźno?... wszakże i wtedy z Pomorzany... jedna jeszcze chwila, a byłoby zapóźno... a teraz może sobie Zbigniew myśleć, iż niema wojny to i niebezpieczeństwa niema, a tu jest gorzej, bo śmierć na każdym może spotkać kroku...

Tak Bolko myśląc zwierzył się ze swego niepokoju Gallusowi. Młody kapłan choć obcy, lecz księciu przychylny, wezwał do rady rycerza Grzymałę, a ten nalegał by wrócić do Wrocławia...

Bolko usłuchał i tym sposobem w ostatniej niemal chwili uszedł śmierci, której ofiarą padła jego siostra mleczna.

Bramy Wrocławia chętnie otwarto na przyjęcie ulubionego księcia; wkrótce nadszedł tam i Zbigniew, wydając rozkaz niepuszczenia żywej duszy do grodu.

Bracia naradziwszy się z starszymi z rycerstwa poznali jasno, iż Sieciech pragnie pozbyć się braci lub w ciągłej przeciw sobie nienawiści ich utrzymać, a tym sposobem

mieć sam ster rządów w rękach. Energia małego lecz już nad wiek rozwiniętego i dzielnego Bolka nie była mu na rękę, a przeczuwając, że mały książę zasiadłszy kiedyś na tronie ojców nie da mu się tak jak Władysław Herman we wszystkim powodować, wolałby być nie widzieć go nigdy na tronie.

Domyślano się, że ochmistrz królewicza Wojśław był prawą ręką wojewody, nie należało go więc puszczać do Wrocławia; a zgromadziwszy tam siły, pójść naprzeciw wojskom królewskim pod Sieciechem w ostateczności. Pierwej jednak postanowiono wysłać posłów do króla z prośbą o odsunięcie od rządów wojewody Sieciecha.

Jakoż na drugi dzień po przybyciu królewiczów do Wrocławia nadszedł zdyszany Wojśław; śnać już wiedział, iż obaj połączeni bracia zajęli gródek; nie przypuszczał jednak, by dla niego bramy gródka zostały zamknięte... nie puszczone go jednak, a zagniewany Wojśław podążył wprost do Płocka. Tymczasem wieść o zajęciu Wrocławia przez synów królewskich obiegła kraj cały, łącząc najdziwniej poprzekęcane wieści o zasadzce na życie Bolka przypisywanej Sieciechowi, wywołując wszędzie otwarty bunt przeciw ulubieńcowi króla; szlachta tłumnie zbiegała do Wrocławia ofiarowując swą pomoc w razie wojny z wojewodą.

Pierwszy raz w życiu zadrzał dumny faworyt królewski; ufny jednak w swą władzę nad królem i pomoc królowej postanowił śmiało stawić czoło niebezpieczeństwu. Należało jednak powiadomić króla o wszystkim i przysposobić go do patrzenia na sprawy oczami wojewody.

— Miłościwy królu i panie—rzekł wchodząc do komnaty królewskiej, dokąd o każdej porze miał wstęp wolny—oto ci własne dzieci odpłacają twą dobroć i powolność! dałeś im ziemię, by się w nich rzadzić uczyli, a im się zachciało całego królestwa! zadługo im ojciec żyje!

— Co mówisz wojewodo?—zawołał król błędąc.

— A cóż, buntują się twoi własni synowie. Cały Śląsk i Wielkopolska jak jeden mąż stają pod bronią i wkrótce na Płock pójdą. Wszak ostrzegałem miłościwego pana, że dać władzę niedojrzałym, to tyle co miecz w rękę szalonego! Czy nie ostrzegałem, by wasza miłość Zbyszka do klasztoru odesłał? Ale więcej posłuchu u waszej miłości miały słowa małego Bolka niż wytrawnego w radzie i boju, a całkiem oddanego waszej miłości rycerza.

— Prawda, to prawda — mówił król płaczkliwie kiwając głową podczas przemowy Sieciecha — ale już się stało, teraz trzeba radzić, co robić, jak tym szalonym dzieciom miecz z ręki wytrącić. Radź, kochany wojewodo, bo zginę bez ciebie! — wołał król rozpaczliwie.

— Niema innej rady, jak żeby wasza wasza miłość sam przeciw buntownikom wyruszył, bo przecież synowie przeciw ojcu broni nie podniosą — odpowiedział Sieciech

Mądry i przebiegły wojewoda wiedział dając tę radę, iż od jej wykonania zależy całość jego osoby i utrzymanie się na stanowisku. Był to jedyny środek ratunku dla niego.

Szlachta zgromadzona przy młodych królewiczach na wiadomość, że sam król ciągnie z wojskiem, a nie Sieciech, schowa miecz do pochwy, a synowie też przeciw ojcu walczyć nie zechcą. Król zaś nie wiedział, że ruch buntowniczy jest skierowany przeciw jego faworytowi i uwierzył, że synowie pragną pojąć tron jego.

Na tę myśl serce Władysława ścisnęło się boleśnie i obwinił odrazu Zbyszka, iż Bolka chytrze na swoją przeciagnał stronę. Mimo tego jednak nie chciał pójść walczyć przeciw synom, a Sieciech musiał użyć całego swego i Judyty wpływu, by wreszcie skłonić króla do wyruszenia w pole.

— Mój Boże! — wołał król — oto jak Dawid mam pójść zwalczać syny swoje! czemu o Boże zasłużyłem na taką karę od Ciebie!

Tak wyrzekając ruszył król z wojskiem i po kilkodniowym wolnym marszu, gdyż król nie pośpieszał, stanął pod Żarnowcem nad Pilicą... Nazajutrz rano ujrzano drugi

obóz jakby wyrosły z pod ziemi... byli to młodzi książęta z wierną im szlachtą.

Na ten widok jeszcze więcej zakrwawiło się serce królewskie. A więc walka była nieunikniona!... miał król walczyć przeciw swemu jednemu, ukochanemu Bolkowi! I dlaczego ten ukochany syn buntuje się przeciw ojcu?...

To ostatnie pytanie było dla króla niemożliwą do rozwiązania zagadką... Dumął król... zdala dochodził go odgłos wojenny, szcęk broni, nawoływania, a wśród tego imię wojewody obito mu się o uszy...

W tem myśl jedna jak grom uderzyła jego umysł... wojewoda... Sieciech — czy nie on jest powodem tej walki? dlaczego ojca — króla wyprowadził do walki nie próbując innych sposobów załatwienia sprawy? Dlaczego miano się chwytać ostateczności.

Wtem przypomniał sobie, że go synowie ostrzegali, by zbyt niemiłym zaufaniem nie obdarzał Sieciecha.

Zbyszek mógł mieć żal do wojewody za swe uwięzienie, ale Bolko... ten Bolko tak dobry i sprawiedliwy dla wszystkich... tak kochający i posłuszny syn...

Gdyby tak z nimi można się porozumieć... zapytać czego oni żądają... ale Sieciech... on na to nie pozwoli.

Gdy tak król rozmyślał w namiocie zbierając się powoli, wszedł wojewoda z chmurą na twarz...

— Najjaśniejszy królu — rzekł — jest tu wysłannik królewiczów, kapelan miłościwego księcia, Gallus.

— Puścić go — zawołał król uradowany, iż jego życzenie tak prędko się spełniło.

Radość ta nie uszła oka Sieciecha; czuł wojewoda, że teraz stanowcza dla niego nadeszła chwila — nie mógł pozwolić na widzenie się synów z ojcem.

— Miłościwy panie — odezwał się — mojem zdaniem nie powinien ojciec — król, zbuntowanych synów przypuszczać przed oblicze swoje. Niech pierwszej odbiorą zasłużoną karę! po bitwie osądzisz królu, co z nimi zrobić.



# Z dziejów przemysłu w Polsce.

Utarło się powszechne mniemanie, że Polska nie posiadała zgoła przemysłu i że jest on nabytkiem stosunkowo świeżym, przeszczepionym na nasz grunt przez żywioły obce.

Jest w tem pewna słuszność, ale odrazu musi być zrobione zastrzeżenie, że wielkiego przemysłu w teraźniejszym tego słowa znaczeniu nie możemy szukać za czasów istnienia niepodległej Polski, gdyż nigdzie na świecie nie rozwinął się on był jeszcze.

Anglja w końcu XVIII wieku miała już przemysł potężny, to prawda, ale połowa ludności jej żyła jeszcze z rolnictwa.

Francja posiadała wielkie manufaktury, lecz całoroczna produkcja jej nie dorównywała bodaj obecnej wytwórczości jednego tylko okręgu przemysłowego.

O przemyśle niemieckim mówić nawet trudno, gdyż naprawdę wielkim stał się on dopiero w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci, gdy zasiliły go miljarde z kontrybucji wojennej francuskiej za rok 1871.

Trudno więc byłoby szukać w Polsce w końcu osiemnastego stulecia wielkiego przemysłu.

Wytworczość owoczesna, posiłkująca się jeszcze pracą ręczną, może się nam wydawać niepoczesną, ale trzeba brać pod uwagę i ludność mniej liczną i trudność komunikacji. Przytem wiek XIX przyzwyczaił nas do szukania głównych ognisk działalności przemysłowej w miastach, w nich bowiem kupią się warsztaty rzemieślników i fabryki, a przynajmniej właściciele, założyciele fabryk.

Polska XVIII wieku przedstawia obraz zupełnie odmienny: zakłady przemysłowe rozrzucone są po całym kraju. Okoliczność ta utrudnia nam wielce zebranie szczegółowych danych o stanie ówczesnej wytwórczości.

Polskie miasta znajdowały się w połowie 18-go wieku w upadku.

Wiarogodni świadkowie przyznają, że było to znaczne obniżenie w stosunku chociażby do 16-go stulecia, ale dezorganizacja kraju, a głównie najazdy szwedzkie przywiodły miasta do upadku, kilkakrotne zarazy spustoszyły je i rozproszyły ludność. To też początek panowania Stanisława Augusta, siódme dziesięciolecie 18-o wieku, przedstawia nam pierwsze próby i nieśmiałe kroki stawiane na polu uprzemysłowienia kraju, potem zaś, raz powziętym zamachem, w miarę rozwoju uświadomienia narodu, przemysł podnosi się i stopniowo etapami przechodzi do dzisiejszego choćby rozkwitu.

Jednym z pierwszych dzieł panowania była „Kompania manufaktur wełnianych“, zawiązana 11 kwietnia 1766 r. i aprobowana przez króla w pięć dni później na następujących podstawach:

1) fundusz składać się miał z 43,200 czerwonych złotych,\*) podzielonych na 120 akcji.

\*) Jeden czerwony złoty (dukat) przedstawia obecnie wartość około 6 rb., czyli, że kapitał zakładowy wynosił 259,200 rb.

2) każdy „Towarzysz“ może posiadać najwyżej 5 akcji,

3) do rady zarządzającej ma być wybieranych 12 ludzi, w tem 4 kupców.

4) sprzedaż z fabryki może być tylko hurtowna.

Ustawę podpisało kilkudziesięciu dygnitarzy polskich, a prezesem został kanclerz koronny Andrzej Zamojski; Narazie wypuszczono kwity tymczasowe, a dn. 23 czerwca r. 1768, po wpłaceniu trzeciej raty, wydano akcje.

Były to pierwsze zapewne w Polsce papiery procentowe publiczne.

Opisywać pobieżnie choćby ważniejsze zakłady przemysłowe ówczesne jest niemożliwością ze względu na szczupłe ramy artykułu.

Ograniczyć się musimy tylko do ogólnych cyfr. Przemysł tkacki z natury rzeczy musiał się rozwijać, a choć ci i owi pisarze narzekają na konieczność sprowadzania tkanin zagranicznych, konieczność ta była urojona.

Wyroby bawełniane produkowało 5 fabryk, z tych największa wspomniana już akcyjna fabryka w Gołędzinowie i zakłady w Żarkach, 41 fabryk wyrabiało tkaniny wełniane. Nie o wszystkich zakładach posiadamy szczegółowe dane, niektóre jednak mówią same za siebie. W takim Rawiczu (w Poznańskim) istniało 200 warsztatów tkackich - sukienniczych, wyrabiających 14 tysięcy postawów sukna rocznie. Do Rosji wywożono stamtąd sukna na 80 tysięcy zł. pol. (240000 rb.) Len przerabiało 9 fabryk, a jedwab—10,

W dziale przemysłu przetworów roślinnych pierwsze miejsce zajmują papiernie. Istniało ich 18, z tych jedna, założona w 1778 r. przez Tyssa w Jeziornie przetrwała do naszych czasów. Największa owoczesna Cadra, założona w 1764 r. po wielu przejściach jest obecnie własnością firmy „Temler i Szwede“.

Najokazalej przedstawiał się przemysł kopalno-hutniczy. Istniało wówczas 18 kopalni i hut, a pracowały w nich 42 wielkie piece. Niektóre zakłady przetrwały do dziś, lub też za naszej już pamięci przestały istnieć. Huty—Końskie, Samsonów, Stąporków, Suchedniów, Wąchock, Kunów—wszystkie z własnymi kopalniami rudy.

Kopalnie węgla kamiennego w Sielcach i na Pogoni.

Wszystkie te firmy znamy nietylko z tradycji. Sól kopano w Wieliczce i Bochni, a wywarzano ją z wody w Ciechocinku, Busku i Solcu. Glinę garncarską znajdowano potrosze wszędzie, ale zasłynęły już wówczas — korecka fabryka porcelany i Ćmielów.

Do zakładów przemysłowych można też zaliczyć drukarnie, a było ich w końcu 18-go wieku 32.

Oprócz opisanej uprzednio akcyjnej „Kompanji“ znajdujemy wówczas jeszcze cztery inne akcyjne towarzystwa: dwie fabryki tabaczne, warzelnię soli w Busku i fabrykę kapeluszy. Powstawanie i względny roz-

wój przedsiębiorstw udziałowych wykazuje zainteresowanie się społeczeństwa sprawami przemysłu, większość jednak zakładów przemysłowych zakładaną i prowadzoną była przez rodową arystokrację polską.

Na liście ówczesnych „przemysłowców“ widzimy nazwiska: Zamoyskich, Potockich, ks. ks. Radziwiłłów, Tyzenhausów, Poniatowskich, ks. ks. Czartoryskich i wielu innych. Mieszczanstwo z czasem dopiero wzięło gorętszy udział w rozwoju przemysłu.

Jaka była wartość materialna produkcji ówczesnych fabryk, na to trudno dać ścisłą odpowiedź, bo jakkolwiek posiadamy dość obfite dane o 300 zakładach, ogółu przedsiębiorstw objąć nie sposób, wszelkie więc wyliczenia byłyby bardzo dowolne.

W każdym razie przemysł polski stał dość wysoko i słusznie może być uważany za przodka teraźniejszych kolosów fabrycznych.

*M. W. Rudnicki.*

M. M. SOKOŁOWSKA.

# Nic ponad ziemię rodzinną.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

4)

## IV.

Główną aleją Saskiego ogrodu przed dziewiątą rano szło dwoje dzieci w wieku szkolnym, niosąc książki pod pachą.

— Lubię bardzo chodzić tędy, — odezwał się chłopczyk, — bo zawsze przypomina mi się chwila kiedyś stał przy bramie z domkiem, który przyniósł nam takie szczęście.

— Oj prawda, że szczęście, — odparła dziewczynka. — przecież gdyby nie to, że go zrobiłeś dla mnie i że tak się podobał Stasi, co akurat wtenczas wychodziła z ogrodu i zobaczyła ciebie z domkiem, to i mamusia byłaby jeszcze chora i tatuś nie pojechałby wcale na Litwę po te książki. Nawet ty nie chodziłbyś do szkoły, ani ja nie poznałabym mojej najserdeczniejszej przyjaciółki, Stasi z którą bawimy się tak doskonale, a i uczę się przy mamusi, ani nie mieszkalibyśmy w takim pięknym mieszkaniu z ogrodem do którego wolno nam wchodzić i bawić się i to nietylko nam samym ale i ze Stasią. Ogrodnik pozwolił nam zrobić sobie małe ogródki. Siejemy też i sadzimy w nich co nam się tylko podoba. Nawet dziś obiecała pani Skalska iść z nami po lekcjach do składu nasion po kwiatki do naszych ogródków. Ja kupię nasienia rezedy i bratków. — Zrobię z nich bukiet dla tatusia jak przyjedzie.

— A masz na to pieniądze?

— Rozumie się, dostałam od mamusi całą złotówkę!

— No to, pamiętaj, nie zgub jej, a teraz idźmy trochę prędzej, nie mam chęci spóźnić się na lekcje, — mówiąc to przyspieszył kroku. Odprowadziwszy siostrę do państwa Bagiańskich, podążył szybko do szkoły ku której zmierzały szybko ze wszystkich stron gromadki większych i mniejszych uczniów. Janek wszedł na korytarz, zdjął paltocik i powiesił go wraz z czapką na kołku a ponieważ klasa już była otwarta wszedł do niej, siadł na swoim miejscu, ułożył książki i zaczął pilnie powtarzać lekcje, nie zwracając uwagi na wchodzących z hałasem i gwarem ko-

legów, z których jedni układali książki, inni napoczynali, przyniesione ze sobą zapasy śniadaniowe. Niektórzy zaś, zebrani w gromadkę, gwarzyli między sobą albo bawili się wesoło, nie naśladowując paru pilniejszych, co powtarzali półgłosem dzisiejsze lekcje.

Właśnie Janek przeglądał zeszyt z zadaniami gramatycznymi kiedy głośno:

— Posuń się, kowalu — posłyszał, lecz ani się ruszył na to wezwanie.

— Mówię ci, posuń się, kowalu, bo przez ciebie nie mogę włożyć książek do ławki — wołał na niego kolega po raz drugi.

— Nazywam się Żarski i siedzę na swoim miejscu, — odpowiedział Janek nie ruszając się.

— Wiem, że tak jesteś zapisany na liście, ale ponieważ kujesz ciągle lekcje, przewaliśmy ciebie: „Kowalem“ tak samo jak na Włosowskiego wołamy: „Dudek“ bo ciągle tylko myśli żeby mieć ładnie związany krawat i gładko umuskane włosy, a na Pawłowskiego „Niedotykalski“, bo się obraża o byle co. Mówię ci, kowalu, po raz ostatni posuwaj się, jeżeli nie chcesz oberwać co zreszty.

— Wolę być kowalem jak... i nie dokończył.

— No czemu nie kończysz, powiedz, jak czem? — wołał zaperzony kolega.

— Nie powiem, bo nie chcę się sprzeczać, nie lubię sprzeczek — odpowiedziawszy to Janek posunął się trochę i w dalszym ciągu powtarzał lekcje, nie zwracając wcale uwagi na kolegę, co mimo wejścia nauczyciela i rozpoczęcia lekcji, nie przestał się zajmować pod ławką malowankami, których miał pełno w książkach i nietylko, że sam nie uważał na wykład, ale przeszkadzał sąsiadom. Janek już od kilku tygodni, ku wielkiej swojej radości, chodził do szkoły do której zapisał go ojciec przed wyjazdem, kupiwszy mu przedtem odpowiednie ubranie i książki. Nie potrzebuje dodawać, że chłopiec uczył się pilnie i chętnie, tym więcej, iż był doskonale przygotowany do swojej klasy. Dostyc trudno tylko było mu z po-

czątku żyć się z kolegami szczególnie z najbliższym sąsiadem Józkiem Galickim bogatym i rozpieszczonym chłopcem, który jak zwykle tak i dzisiaj był nieważnym podczas lekcji, aż nauczyciele przestrzegali go parę razy.

Na dużą pauzę uczniowie wybiegli na dziedzińiec. Jedni zjadłszy prędko śniadanie, zabrali się śpiesznie do zabawy, inni rozmawiali, inni jeszcze, do których należał Janek, przepowiadali chodząc — lekcje. Nareszcie odniósł książkę do klasy i wróciwszy zaczął się bawić w piłkę z kolegami. Zabawie oddał się z wielkim zapałem, aż zmęczony usiadł, żeby trochę odpocząć na ławce niedaleko Józka, który widocznie dobrze usposobiony, zjedzonem tylko co obfitem śniadaniem, wdał się z nim w gawędę. W trakcie rozmowy Janek zapytał Józka, czemu nigdy nie umie prawie żadnej lekcji.

— A po co się mam uczyć?

— Jakto po co? — żebyś więcej umiał jak teraz.

— Kiedy ja tego wcale nie potrzebuję. Przecież nietylko mędracy potrzebni są na świecie. I dla takich nie bardzo uczonych jest również dosyć na nim miejsca. Mój tatuś skończył tylko szkółkę elementarną, a dorobił się na sklepie korzennym aż trzech kamienic. Znam nawet jednego pana, co ledwie podpisać się potrafi i to z błędami, a ma aż cztery kamienice. Zresztą...

— A to głupiec skończony, — zawołał Wacek Orłowski, przysłuchujący się od jakiegoś czasu ich rozmowie — dlatego że jego ojciec ma kamienicę, to on uczyć się nie potrzebuje.

— I ma zupełną rację — odezwał się Staś Dobrzycki, bo mógłby się dowiedzieć przypadkiem, że i kamienicznicy bankrutują, a ich synalkowie osły sprzedają po ulicach gazety, bo nic innego robić nie potrafią.

— Nie ubliżaj gazetnikom, to często bardzo porządne chłopcy, niejeden z nich zarobkiem swoim dopomaga rodzicom i rodzeństwu i pragnąby nieraz bardzo się uczyć, a niema za co ani kiedy.

— Patrzcie go jaki mądrała, pilnuj swego nosa a nie wtrącaj się do tego co do ciebie nie należy. Nie opiekuj się mną, poradzę sobie doskonale i bez twojej pomocy. Mam swój rozum, nie potrzebuję pożyczać go od ciebie. A kowalem nie byłem nigdy i póki życia nie będę.

— Rozumie się, lepiej być osłem jak kowalem.

— Ej, mówię ci, nie przezywaj się. Sam jesteś osieł. Dawno wszyscy wiedzą, że: „kto sam taki drugiemu daje znaki. Wczoraj ledwo się wyprosił od knota za arytmetykę a dziś prawi drugiemu jakieś tam morały. Wynoś się pókiś cały, bo możesz oberwać co z reszty.

— Co, myślisz, że się ciebie boję, zacznij tylko, — i oba zaperzyli się jak dwa koguty. Pewno sprzeczka zakończyłaby się bójką, gdyby nie to, że w dziedzińcu ukazał się kataryniarz z uczoną małpką na ramieniu, więc Staś a za nim inni koledzy, przysłuchujący się sprzeczce pobiegli przypatrywać się uciesznym figlom małpki.

Józio przytrzymał Janka za rękę, gdyż, jak mówił, ma mu coś ważnego do powiedzenia i rzeczywiście odszedłszy z nim na stronę rzekł mu coś półgłosem, Janek, zaczerwieniwszy się jak dojrziała wisienka odpowiedział mu także pocichu i zamierzył się na niego, a Józio, nie czekając aż zostanie uderzonym, sam go uderzył w kark, Janek mu oddał i zaczęła się bójka, której koniec położył dopiero odgłos dzwonka. Obaj zapaśnicy pobiegli do klasy, odkładając na później dalszy ciąg sprzeczki i porachunki.

Dzień dzisiejszy był doprawdy feralny dla Józka, ledwo bowiem uczniowie zajęli miejsca, kiedy wszedł nauczyciel i jego pierwszego wywołał do lekcji. Biedny chłopiec nie zupełnie jeszcze uspokojony po przeprawie z Jankiem, usłyszawszy swoje nazwisko zaczerwienił się po uszy, gdyż według starego zwyczaju nie był wcale przygotowany do odpowiedzi, wstał jednak, udając zucha, zaczął kopać pod ławką kolegów, co, jak oddawna wiadomo, jest żądaniem podpowiadania, ale ponieważ nauczyciel patrzył uważnie na klasę, nikt nie odważył się podpowiadać mimo dosyć gwałtowne, a nawet dotkliwe znaki telegraficzne. Józio więc zostawiony własnemu przemysłowi, bąkał odpowiedzi i ostatecznie byłby jednak może jakoś od biedy wybrnął z kłopotu gdyby nie to, że nauczyciel zażądał zeszytu z zadaniem i kazał Józkiowi przyjść z nim do katedry.

— Kiedy, proszę pana profesora, zostawiłem go w domu. Nauczyciel popatrzył chwilę na ucznia i rzekł:

— Poszukaj dobrze, a pewno go znajdziesz w ławce między swymi zeszytami. — Zdaje mi się że on się tam znajduje.

d. c. n.



K. RYDZEWSKI — Z. PIECHOWSKI.

10)

# ZŁOWROGI PRZYBYSZ.

— Tak zamierzam.

— A więc dalej!

Werno przyciszył głos.

— Słuchaj starcze! Aparat „U” znajduje się w pobliskiej komnacie. Zamki pootwierane. Jedyne wziąć. Wesipe pył zachwycony.

Werno wyprowadził ich. Przeszedłszy kilkanaście korytarzy zniżających się coraz bardziej ku dołowi, znaleźli się w podziemiu. W kilka chwil potem stanęli przede drzwiami.

Werno bez trudu rozwarł je.

I znowu zapuścili się w labirynt galerji. Szli dość długo. Wszelkie wejścia były przez Wernona ponastawiane tak iż, za poruszeniem opuszczały się.

Wesipe owi serce biło w piersiach. Wnet posiądzie to, czego pragnął najbardziej. Odznaczy się. Być może Del Tolekko uczyni go pierwszym swoim pomocnikiem. Zdobycie aparatu będzie tego warte.

Nakoniec ujrzeli się w olbrzymiej sali. Masy przyrządów, maszyn najrozmaitszych znajdowały się tutaj.

Werno zwrócił się ku jednej z nich.

— Oto aparat, który zapewni nam parjasom wyższość nad przekłętymi aristosami!

I pochwycił ręką za machinę.

Zbiornik z promieniami „U” była to zwykła, niepozorna skrzynka. Po bokach jej widniały mechanizmy oraz druty, którymi przesyłało się zabójcze światło. Jeden ruch korbą nie wystarczał. Trzeba było znać całkowite jej urządzenie, ażeby można korzystać z działania.

Trzej parjasi wzięwszy, po co przyszli, zamierzali, się oddalić.

Nagle we drzwiach ukazali się ludzie.

Werno, Belina a nadewszystko Wesipe, osłupieli.

Z tyłu poza strażą ujrzeli Muni'ego. Wesipe zrozumiał: była to zdrada.

Gniew jego granic nie miał. W przystępie wściekłości porwał za dynamitową bombę.

— Giń, zdrajco!

Nagle płomień ogarnął ze wszech stron byłego przywódcę parjasów. Twarz wykrzywiła mu się kurzowo. Oczy wyszły z orbit. Okropny widok przedstawił się obecnym.

Nie długo to jednak trwało. Muni runął, a ciało jego, żywy słup ognia, drgało w agonji przedśmiertnej czas jakiś.

Po chwili wszystko było skończone. Z Muni'ego pozostało tylko nieco popiołu.

Tymczasem wysłańcy aristosów związali szamocącego się Wesipe oraz innych parjasów.

Nim ci zdołali pojąć, o co chodzi, leżeli już na ziemi skrępowani. Wesipe nie miał nawet czasu sięgnąć po drugą piekielną bombę.

Skrzynka znalazła się w ręku napastników.

Próżno parjasi szarpali się, usiłując wydobyć się z więzów. Nic nie pomogło. Wyniesieni zostali z podziemi.

Na górze oczekiwał Lionel oraz dyrektorowie.

— Spełniliśmy co kazano. Aparat odebrany. Ani się spostrzegli, kiedyśmy ich pochwycili. Jedyne Muni...

— Nie żyje?

— Tak!

— Dobrzeście się spisali. Nagroda was nie minie. O Muni'm nie wspomnieli.

— A teraz należy poskromić rozuchwalony tłum, który przybył tutaj na aeroplanach.

Roche wraz z oddanymi ludźmi wsiadł w samolot.

Wdali już było widać kilkanaście plamek. Z niecierpliwością wyglądano tam przywódców, aby wraz z nimi podążyć na teatr.

Zamiast nich ujrzeli Lionela.

— Naczelnicy wasi schwytni. Powracajcie do waszych zajęć, gdyż w przeciwnym razie surowo zostaniecie ukarani. Promienie „U” będą przeciw wam użyte.

Przerażenie ogarnęło robotników: wszakże byli bezbroni.

Nie pozostawało nic innego, jak usłuchać rady Lionela, co też i uczynili.

Roche i dyrektorowie świata powrócili na przedstawienie, nakazując pilnie strzedz Belinę, Wesipe'a i Wenona.

W podziemiu leżała garść popiołu.

Oto jak skończył Muni, który się sprzeniewierzył sprawie parjasów.

\* \* \*

Bunt w Warszawie stłumiony został w zarodku. Dyrektorowie przedsięwzięli energiczne środki celem zapobieżenia mu po raz wtóry. Teatr Narodowy obstawiono strażą jakoteż arsenały i zbrojownie. Dokoła miasta krążyli wartownicy, broniący przystępu podejrzany, w obawie nowych wysłańców Del Tolekka. Z pojmanyh Wernona stracono elektrycznością, Wesipe zaś z Beliną zdołali niewiadomym sposobem zniknąć z więzienia.

O Muni'm zapomniano zupełnie.

\* \* \*

Lionel de Roche wraz z Weeną powracali do Kairu. Przez drogę prezydent opowiadał o wypadkach, jakie zaszły tej nocy. Weena bowiem, jak większość zebranych, nic o tem nie wiedziała.

Usłyszawszy przerażiła się.

— Więc byliśmy w tak wielkiem niebezpieczeństwie?

— Tak jest. Parjasi gotowali nam zagładę. Gdyby nie Muni, kto wie, co by się z nami stało — mówił Roche.

- Gdzież jest ten człowiek? Czy żyje?  
 — Zginął od palącej bomby — odparł Lionel.  
 — Jakie to straszne! — wyszeptała Weena.

Roche nie odrzekł nic. Myślał o swym przyjacielu serdecznym O'Klearn. Czy go zabili parjasi? Czy umknął? Nie doszły go wiadomości, gdyż komunikacja z Argentyną była zerwana.

Wnet z poza horyzontu wyrzało słońce. Choć mniej ciepłe niż dawniej, złociste jego blaski były cudne. Mieniając się nakształt iskier w wysokich kopułach wież, zdawały się być rozsypanymi ręką czyjąś brylantami. Padały na pokrytą zielonością ziemię, dając jej resztki światła... światła, którego coraz mniej dla nas będzie.

Niewielki jaśniejący krąg z majestatem wznosił się po niebie, wznosił coraz wyżej... ku górze...

Mimo nieprzepuszczających ciepła szat chłód dawał ucyzuwać się. Mrozy coraz silniejsze, szczególnie nocą i rankiem, panowały tutaj. Klimat stawał się coraz surowszy, a co było przyczyną tego wiemy dobrze.

— Gdzie Kamil? — dumiała Weena. — Czy ciągle przy Agni'm? Czy uratuje ludzkość? A może zginąć przyjdzie?

Na zachodzie świeciła Malus Advena.

Jak dwaj wrogowie, co oko w oko stanęli i w bój idą śmiertelny, tak naprzeciw siebie na dwóch przeciwległych krańcach niebios widniały dwie gwiazdy.

Jedna dawca światła, a druga ciemności; jedna lejąca radość w serce, a druga ponurym blaskiem rozpacz siejąca. Jedna pleniąca życie, a druga zagładę. Która zwycięży?

## VI.

Agni pozostawał wciąż w Passawie.

Zdrowie jego polepszyło się nieco. Zapalenie mózgu, dzięki usilnym staraniom dr. Chibou, minęło bezpowrotnie. Pomimo to, zmiany, spowodowane w organizmie, były wprost zastraszające.

Z czerstwego i zdrowego młodzieńca zrobił się nikły, wycieńczony chorobą. Oczy, przedtem tchnące mocą, zdawały się być zagasłe. Twarz wychudła, koścista, co była niegdyś tak piękną -- oto obraz Agni'ego.

Agni energicznie wziął się do pracy. Ładowanie aparatu należało uskutecznić niezwłocznie, gdyż czasu zostało już niewiele. Skutki wpływu Adveny były coraz widoczniejsze. Słońce malało z dniem każdym, a potworna gwiazda, lubo teraz nie powiększała się na widnokręgu, działała na planety bezprzestannie. Roczny obieg ziemi nie był to już obieg dokoła słońca. Obracała się ona w ten sposób, iż raczej wypadło, że krąży dokoła Anveny.

Zimno dotkliwie dawało się ucyzuwać na całym globie. Polarne okolice nagromadziły w sobie tak wielką ilość lodowców, iż groziło to nastaniem nowej lodowcowej epoki. A i bez tego w umiarkowanej strefie

mrozy przewyższały 40 stopni niżej zera, na biegunach zaś dobiegały do stu. Wszyscy przenosili się w okolice cieplejsze, do niedawna gorące, na których dzisiaj zaledwie kilka stopni ciepła można było naliczyć.

Światło słoneczne słabło, jakoteż i księżycowe, które od pierwszego bierze początek. W południe bywało tak ciemno, jak przed rokiem o zmroku. Zapobiegano temu. Latarnie elektryczne jaśniały dniem i nocą. Dla ochrony od chłódów północy odziewano się w lekkie, choć nie przepuszczające od wewnątrz ciepła, szaty.

Ale to znaczyło niewiele. Światła i ciepła było coraz mniej.

Nadmiar złego wegetacja roślinna, tak obfita dotychczas, poczęła marnieć. Drzewa, krzewy, zioła, trawy i t. p., pozbawione w części dwóch koniecznych dla swego istnienia czynników, nie potrafiły przystosować się do tych warunków bytu,

Agni z przestrachem śledził ten zanik i obawiał się, czy też starczy mu czasu na przygotowanie do użytku swej maszyny.

Czasami zbierali się wtajemniczeni i radzono nad sposobami ulepszenia maszyny.

Agni na jednym z takich posiedzeń podał projekt, ażeby aparat przewieść gdzieś w ustronne miejsce. Inni byli tegoż zdania. Należało się zabezpieczyć przed parjasami. Chociaż nikt nie spodziewał się, by bunt wtargnął aż tutaj, ostrożność nie szkodziła.

Dziś trzy miesiące przeszło od pierwszego zebrania w Johannesburgu zgromadzili się wszyscy w domu Agniego w Passawie.

Zasiedli dokoła długiego stołu. Na czele Agni, za nim Kamil, a dalej reszta uczestników.

Obmyślano, gdzie i przez jakich ludzi winien być napełniany wolą aparat.

Agni mówił przyciszonym głosem:

— Jak wiecie, trzeba stu tysięcy nas, iżby można przystąpić do działania. Przyjmujemy jedynie aristosów, gdyż parjasi zdradziliby sprawę.

— Tak! tak! — ozwały się głosy — parjasi wykluczeni.

— Przez zemstę oznajmiliby Tolekko wi, któryby napewno usiłował pojąć naszą maszynę.

— Więc tajemnica względem nich!

— Nietylko — rzekł Agni — aristosi, którzy do owych stu tysięcy należeć nie będą, także nic wiedzieć nie powinni.

— Trzeba wybierać ludzi wiarogodnych — dodał Raston, rządca Dolnej Afryki, — i tych nazwisko notować.

— Przez ten czas tak samo potrzeba przygotować. miejsce! — zawołał Antin.

— Ale gdzie?

— Radziłbym wyżyny Tybetu. Tam byłoby najdogodniej, — ozwał się Merun.

d. c. n.





Tak słusznie, *Krakowianko*, zachwycasz się cudnemi naszymi Tatrami. Niema to jak ojczysta matka-natura i, bodajbyś naprawdę, nigdy w życiu nie potrzebowała szukać cudzych uzdrowisk, bo dobry Bóg dał naszej ziemi wszystko, co zdrowiu jej dzieci może być przydatne, co pięknnością każdego może oczarować i najbardziej zmęczoną duszę przejąć radością życia.

Zapał i wesele, aż biją z twego listu, dziewczeczko miła, zapytuję cię więc, czy tej radości innym, smutniejszym od siebie udzielasz?... Sądząc z zakończenia listu — tak, gdyż tętni ono dobrocią i serdecznością. Ale pragnę, by domysły me i wrażenia potwierdziły własne twe słowa — odpowiedz mi przeto na me pytanie; — dobrze?

Order Legii Honorowej ustanowił Napoleon I; kobiety również bywają nim szaszczycane, choć nader rzadko. Obecnie Francja liczy przeszło sto kobiet, ozdobionych tą dekoracją; pomiędzy nimi są kobiety różnych sfer i różnego pola działalności: samych zakonnic jest 23. Ofiar na cele dobroczynne nie nadsyłał na moje ręce, lecz wprost do redakcji. Załączam ci serdeczne uściśnienia.

Smutny przykład braku rozumu i serca, przytaczasz mi, *Stęsknione Serduszeko*; niestety, nieraz można się spotkać z takim niezdrowym objawem, który rumieniec wstydu na twarz myślącego człowieka wywołuje. Ale czy to ma nas zniechęcać od działalności w tym kierunku? Wcale nie! Ową ograniczoną i upartą osobę pozostawiać jej losowi, *ale dziećmi i chorą ich matką zająć się bezwarunkowo*. Te nieszczęśliwe, a bezradne istoty wyrwać z nędzy, dać im możliwość życia, naukę, zaszczepić zdrowe zasady i pojęcia, nauczyć pracować — jest świętym obowiązkiem tych, którzy o rodzinie tej wiedzą i mają możliwość zbliżenia się do niej. Wiem, że ty, kochane Serduszeko, będziesz jedną z prawdziwych i wytrwałych opiekunek owej dziatwy... Dziękuję ci serdecznie za pamięć o mej Halince; jest ona rzeczywiście taką, jak sobie wyobrażasz, tylko szczupła i wątła.

Tak, to rozumiem, *Chmurko*, widzę, żeś dobrem i dzielnym dziewczęciem, ale niecierpliwości trzeba się pozbyć, koniecznie. Wiem, że wykorzenienie małej nawet wady, ciężką jest pracą, lecz czyż dlatego mamy się poddawać temu, co w nas jest złe?

Sama przecie mówisz, że nie znajdujesz szczególniejszego upodobania w gospodarstwie, a jednak, żeby móż wyręczać mamę i przyczynić się do oszczędności w domu — będziesz się przez wakacje uczyła gotowania, sprzątania i innych tego rodzaju czynności. Jest to myśl bardzo chwalebna i jednocześnie świadcząca, że umiesz się przezwyciężać, umiesz, pracować nad sobą.

Co do kłopotu twego, zaradzić nań może tylko doktor, ale również nie na odległość, musi bowiem zbadać biedne gardziółko i wogóle organizm. Obawę przed lekarzem uważam za conajmniej nierozsądną i żadne tłumaczenia jej nie usprawiedliwiają. To też usilnie i serdecznie radzę ci zwrócić się do doktora, a napewno będziesz zadowolona, czego szczerze ci życzę.

*Lilipuciku* drogi, mylisz się. Najtrudniejszym alfabetem jest alfabet chiński i japoński. Zarówno jeden, jak drugi, posiada niesłychanie zawile znaki pisarskie.

To też człowiek, który umie tam czytać i pisać jest już poniekąd uważany za uczonego. Obecnie, Japończycy sami zaprojektowali zmianę swego alfabetu na alfabet łaciński, dowodzą, że to będzie ogromnym ułatwieniem. Reforma ta ma być zaprowadzona wkrótce.

Ale dlaczego Lilipucik tak zawzięcie sprzecza się ze starszymi kolegami? Zasyłam ci serdeczne pozdrowienia.

*Pracowniczka* ładny i wymowny pseudonim sobie obrała. Bardzo mię cieszy, że tak rozsądnie zapatrujesz się na życie i jego cel, oszczędzi ci to wiele zawodów i goryczy, a że lubisz zabawić się i potańczyć „bodaj z miotłą“ — nic to złego, owszem, baw się, tańcz, śpiewaj, ile się zmieści — z tym większą potem ochotą i energią wrócisz do swych obowiązków. A zupełnie zgadzam się z tobą, że są one poważne i nieraz wymagające drobnych ofiar, poświęceń się, trudniejszych niekiedy od zdobycia się na chwilowy heroiczny choćby czyn.

Czytaj, kochana moja, „Nad Niemnem“ Orzeszkowej, czytaj, zobaczysz ile ci to da dobrych i podniosłych wrażeń.

Za serdeczne twe słowa i zwierzenia wdzięczną ci jestem i z duszy pragnę, byś osiągnęła owo oczekiwane zadowolenie. Jadzi i Kazikowi załączam buziaka i dopominam się od nich listu.

Więc *Motylek* buja już na wsi, szczęśliwy!...

Ale, chłopaczku, tak jakoś niewyraźnie napisałeś mi o egzaminach i promocji, że nie wiem, czy ci mam jej wieszować, czy co innego... A przecie list każdy, a zwłaszcza mężczyzny powinna cechować jasność, treściwość, której właśnie w ostatnim liście wcale niema. A już co mają znaczyć ostatnie słowa listu twego: „Dowidzenia, zobaczmy się na wsi...“ — i, następujący po nich domyslnik — zupełnie nie rozumiem, tembardziej, że ja jeszcze nie wiem kiedy i w którą stronę świata udam się na lato. Czyżby lekkoskrzydły motylek, lepiej był pod tym względem poinformowany ode mnie? W każdym razie, z przyjemnością odpowiadam ci: „Dowidzenia!“ i czekam wyraźniejszych wiadomości o promocji i cenzurze. Książki, o którą zapytujesz, nie znam.

Bardzo mi przyjemnie poznać *Ułana*, który tak wytrwale i dzielnie walczył od Wielkiejnocy z arytmetyką, niemcem i geografją, że został zwycięzcą i awansował na czwartoklasistę, co już jest rangą nielada! A jakie wspaniałe projekty i zamiary na cały ciąg wakacji! zdaje mi się, że ziszczenie się bodaj połowy tych projektów, zdołałoby wprowadzić w zachwyt niejednego z chłopców w mniej szczęśliwych od ciebie warunkach. To też bądź słownym, Ułanie, i coś obiecał koledeczce — dotrzymaj, tembardziej; że dobrzy rodzice twoi chętnie się na to zgadzają.

Siostrzyczka twoja, *Zdana*, niemniej od ciebie szczęśliwa, również wesoło zapowiadają jej się wakacje na pięknej wsi. Ale Zdano kochana, jeżeli nie pozbędziesz się obawy przed dentystą, wakacje całe zatruduje ci ten nieznośny ból zębów, a co gorsza, ząbki przedwcześnie potracisz. Bądź więc rozsądną, dziewczeczko, i dentysty nie obawiaj się ani trochę. Pytasz, jakie zabawki najlepiej zabrać na wieś — sądzą, że te, któremi najwygodniej jest bawić się na powietrzu, a więc: piłka, koło, krokiet, serso, narzędzia ogrodnicze i t. p. Na niepogodę zaś, gdy trzeba siedzieć w mieszkaniu: loteryjki naukowe, czarnoksięską latarnię — wybór znajdziesz obfity. Książeczek również proszę zupełnie nie zaniedbywać, i w wakacje dobrze jest czasem przypomnieć sobie o ich istnieniu.

O listy i wrażenia wakacyjne owszem, bardzo proszę, naturalnie, że będą na nie odpowiadała.

*Stefanja*.

„lassem“. Buffalo-Jones zamierza dostarczyć goryłów zoologicznym ogrodom: zajęcie to jest bardzo zyskowne, ponieważ z powodu trudności złapaniu goryla żywcem, okazy te należą do rzadkości.

## Humor i satyra.

### U majstra.

— Panie majster, dla czego pan takim strasznyim dragiem tłucze obłopca? Czy zasłużył?

— Wcale nie! To tylko przez rozum polityczny, bo jak go później zaczną codziennie walić już tylko bambusem nie będzie się zalił na złe obchodzenie.

### Ze szkoły.

Nauczyciel: Powiedz mi, Karolku, dla czego tamto drzewo „piaczącą wierzbą“ nazywają?

Karol: — Ponieważ przy szkole rośnie, a pan nauczyciel codziennie świeżą różgę z niej rżnie.

## Szarady i lamigłówki.

### ZADANIE ARYTMETYCZNE

ul. A. L. S.

Jeździec z koniem waży 980 funt.,  
jeździec z siodłem waży 205 funt.,  
koń z siodłem waży 825 funt.

Ile waży jeździec wraz z osiodlanym koniem?

### LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ul. Mokołagwa

Z następujących sylab: kra, ce, u, o, sar, za, i, ków, cy, re, na, koń, ko, na, Jąc, o, cho, lja, scia, dra, na, ułożyć dziesięć wyrazów, których pierwsze litery czytane z góry na dół utworzą nazwisko bohatera polskiego. Znaczenie wyrazów: 1) Dawna stolica polski, 2) Rzeka w polsce, 3) Inaczej mur, 4) Imię kobiety, 5) Imię kobiety, 6) Część ciała, 7) Nazwa zwierzęcia, 8) Nazwa zwierzęcia, 9) Nazwa zwierzęcia, 10) Część ciała.



### Na ziemiach polskich.

Wilk germański. — I co to się dzieje z temi królikami polskimi? Im żartoczniej je pozeram, tem ich coraz więcej, aż w końcu wysadzą mnie z mego legowiska. (Mucha).

# Semici i Semityzm

przez ks. Władzińskiego.

Cenna i nader zajmująca ta praca, ilustrująca dokładnie i ze znajomością rzeczy stosunek żydów do innych narodów, a w szczególności do narodu polskiego zasługuje ze wszech miar na jaknajszersze rozpowszechnienie.

Do nabycia w Księgarni „Polaka-Katolika“

Krakowskie-Przedmieście 71.

Cena 60.

PODRĘCZNY

# Atlas zoologiczny

Nakładem T-wa „Świt“.

Część pierwsza zwierzęta ssące  
„ druga ptaki.

Cena jednej części 2 rb.

Do nabycia w księgarni „Polaka-Katolika“  
Krak.-Przedm. 71.

Księgarnie nasze polecają jako najświeższą nowość po  
wieść napisaną przez Z. Morawską, p. t.

## NIGDY!

Powieść ta, bardzo zajmująca, osnuta jest na tle wojen Napoleońskich z r. 1813 i dostępna jest dla młodzieży jako też i osób starszych.

### Praktyczny podarek

# Zabawa „NIEBO” Towarzyska

W celu moralnego i pożytecznego przepędzania  
wieczorów świątecznych w kółkach rodzinnych.

Wydanie 5. :: :: :: :: Wydawca X. Raf. Kap.

jest do nabycia

w Księgarni „Polaka-Katolika”, Krakowskie-Przedmieście N-r 71.

KSIĘGARNIA

## Polaka-Katolika

Warszawa, Krak. Przed. Nr. 71.

POLECA

### Kalendarz na rok 1914

Kalendarz Katolicki 15 kop.

„ Marjański 30 kop.

„ Najś. Rodz. 25 kop.

Mały Kalen. Marjań. 20 kop.

## „POSIEW“

Najtańsze pismo ludowe tygodniowe

Organ wybitnie katolicki i antysemitki

„POSIEW“ redagowany stylem jasnym i zrozumiałym, jest przystępnym dla najszerszych warstw ludowych i pożądanym w każdym domu robotnika i chłacie wieśniaka, jako tygodnik religijno-społeczny, wydawany w duchu ściśle katolicko-narodowym.

Redaktor i Wydawca Książ Ignacy Kłopotowski

CENA PRENUMERATY: Rocznie rb. 3, półrocznie rb. 1,60, kwartalnie kop. 80, miesięcznie kop. 30. — Numer pojedynczy kop. 6. Zmiana adresu kop. 10.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Krak.-Przedm. 71.

## „Rolnik Hrubieszowski“

Jeńny organ polski w nowopowstałej gub. Chełmskiej. Niezależna i bezpartijna placówka dla obrony wszystkich spraw społeczno-ekonomicznych i rolnych pod kierunkiem naukowym

Bohdana Janiszewskiego i inż. agr. Jana Lentza.

W dziale ekonomicznym rozwinięto oko współpracownictwo najlepszych piór polskiej Chełmszczyzny.

Warunki prenumeraty: rocz. w kraju rb. 6, półrocz. rb. 3, za granicą rocz. rb. 8

Redakcja i Administracja: Hrubieszów, ul. Pauska księgarnia B. Kiesewetterowej.

## ROCZNIKI

### „WIECZORÓW RODZINNYCH“

Z ROKU 1913.

Do nabycia w księgarni „Polaka-Katolika“

Krakowskie-Przedmieście 71.

Bez oprawy rb. 4.

W gustownej oprawie rb. 5

Wydawnictwa ludowe

## O TEM CO WIDZIMY NA NIEBIE

nap. M. Fljoda.

Oddzielne broszurki objętości 32 str. druku.

- 1) Ziemia Księżyc i zaciemnienie
- 2) O zaciemieniu wogóle, wszechświat i słońce
- 3) Komety, gwiazdy spadające i lunety

Cena za każdą broszurkę kop. 8.

Do nabycia w Księgarni „Wieczorów Rodzinnych“ Krak.-Przedm. 71.

W Lublinie przedpłatę na

## „Wieczory Rodzinne“

PRZYJMUJE

KSIĘGARNIA RELIGIJNA

Królewska No 8.